

OGNIWO

DWUTYGODNIK MŁODZIEŻY POLSKIEJ W CZECHOSŁOWACJI
Z BEZPŁATNYM DODATKIEM „OGNIWKO” I POWIEŚCIOWYM

PISMO POŚWIĘCONE SPRAWOM MŁODZIEŻOWYM - ORGANIZACYJNYM - INFORMACYJNYM - OŚWIA-
TOWO-KULTURALNYM - NAUKOWYM I WYCHOWAWCZYM



Zmartwychwstanie.

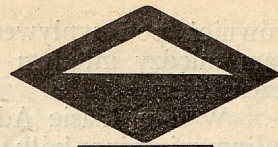
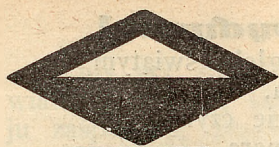
Jan Matejko.



Święcone przed chatą łowicką.



Ze święconem w Łowickiem.



Adam Skwarczyński.

Trzeba wyrość ponad siebie.

Nasze hasła nie mogą być domaganiem się różnych dobrych rzeczy, które bez zasługi mają spaść skądś — z nieba.

Nasze hasła — jednym słowem — muszą być czymś zupełnie innym, niż dotychczasowe hasła agitacyjne; muszą być przede wszystkim skrótami surowych wymagań, jakie stawiamy sobie, organizacjom naszym i całemu społeczeństwu.

...Zawsze mówimy ludziom w pierwszym rzędzie o ich obowiązkach, a nie o uprawnieniach. I dlatego na pierwszym miejscu sformułuję hasła — przeciw hasłom:

Wykreślić z naszego słownika słowa „Protestujemy“ i „Żądamy“ — i zastąpić je słowami: „dążymy“, „pracujemy“.

Wykreślić słowo „Interes“, a nawet w znaczeniu „interes zbiorowy“ — a zastąpić je słowem „Służba“.

A teraz hasła pozytywne. Więc przede wszystkim to, co nazywamy „imponderabiliami“. Tu umieszczę te..., które mówią o honorze, bezinteresowności, odpowiedzialności, a które nie są niczym innym, jak cnotami rycerskimi.

„Tworzymy Nowe Rycerstwo.“ Cnotami jego: bezinteresowna służba i odpowiedzialność — „bezwzględnie wykonywam to, do czego się zobowiązałem“.

* * *

Dlatego ideał wychowawczy Piłsudskiego zmierza do urobienia człowieka własnowolnego i własnowolnego społeczeństwa, do wydobywania z ludzi i ze społeczeństwa czynu. Nie nakazywania czy namawiania, ale właśnie wydobywania: stawiania człowieka i społeczeństwa w takim położeniu, w którym rodzi się decyzja, poczucie odpowiedzialności i czyn.

* * *

Każdy nowy czyn ludzki jest czymś irracjonalnym. Jest zapytaniem rzuconym przyszłości — i

nieorganizowanemu jeszcze w ludzki sposób kłębowisku rzeczy i faktów.

Umiejętność rzucania takich czynów-zapytań to umiejętność zapładniania dziejów. Polega ona na czymś takim, co się da porównać z metodą wychowania, jaką przyroda stosuje do swych stworzeń, a życie do ludzi; przyroda każe nagle małemu ptakowi latać, życie — dorastającemu człowiekowi dawać sobie radę w świecie. Stawiają one w pewne położenie, w którym siły muszą się znaleźć, jeśli wogóle ma dalek trwać życie.

Nikt nigdy z góry nie umiał odpowiedzieć, czy się czyn jakiś nowy uda, — bo uczynić tu trzeba jakby skok w przestrzeń nieznaną. Ni Kolumb, gdy ruszył na Atlantyk, ani Piłsudski, gdy pobierał decyzję 6-go sierpnia — nie umieli odpowiedzieć, czy mają siły. Nie rozumowanie tu bowiem, ani obliczenie rozstrzyga, lecz intuicja i nakaz moralny.

Kto mógł przewidzieć, że Piłsudski, samotny przed laty wygnaniec, posiadający kilku czy kilkadziesiąt współpracowników, będzie naczelnikiem potężnego Państwa — i prowadzić je będzie wśród najcięższych warunków, mierząc się z mężami stanu, którzy siły swe przyspasabiali w kilkadziesiątletniej fachowej praktyce. Jednostka nad zwykłą miarę ludzką — powiecie — genialna. Kto po maturzyście rzeszowskim Lisie-Kuli spodziewał się, że za lat kilka dowodzić będzie batalionami. Dobieram nazwiska znane, ale każdy sam przykładów podobnych namnoży sobie bez liku.

Ludzie ci i organizacje zostali postawieni w położenie, w którym jasno wiedzieli całą duszą, czego chcą — i uruchamiali wszystkie swe siły drzemające lub bezużytecznie rozstrzelone, by spełnić swe dzieło...

Chodzi o to, aby te siły uruchomić. A uruchomi je jasno postawiony wielki cel, głęboko uświadomiony i odczuty.

Zagadnienie siły jest kwestią moralną. Trzeba wyrość ponad siebie samego — wtedy zwyciężymy.

Wielki idealista.

Adam Skwarczyński urodził się w roku 1886 w Małopolsce Wschodniej. Ojciec jego Wincenty, uczestnik powstania 1863 r., umiera w 1888 r., rodzina przenosi się więc z dworku wiejskiego do Lwowa. Matka Skwarczyńskiego, córka powstańca z r. 1831, bardzo troskliwie wychowała syna. Wedle późniejszych słów Skwarczyńskiego „pierwsza nauczyła go kochać Polskę“. Do 9 roku życia kształcił się w domu. Rozwija się w nim wcześniej zamiłowanie do muzyki i do książek. W gimnazjum bernardyńskim Mickiewicz i Słowacki są ulubioną

jego lekturą. Próbuje wyrażać swoje myśli, nie o osobistych przeżyciach a o sprawach ogólnych, w artykułach. Interesuje się żywo zagadnieniami społecznymi, rozmyśla dużo nad rozwiązaniem ich na tle rzeczywistości.

Starsza młodzież we Lwowie miała swoje czasopisma, które krążyły pod ławami szkolnymi. „Promień“, poświęcony sprawom młodzieży szkolnej — budził zainteresowanie dla ekonomii i socjologii, dawał własne programy samokształcenia. Wytworzył się pod wpływem lektury tych pism, jak i

również pod wpływem literatury historycznej roz-
łam między młodym pokoleniem a starszym społe-
czeństwem.

W 6-tej klasie Adam Skwarczyński tworzy wraz
z innymi tajne kółko samokształceniowe. Młodzież
dowiaduje się o ruchu niepodległościowym w Kró-
lestwie. We Lwowie Skwarczyński poznaje Piłsud-
skiego, gdy ten wygłasza tajny odczyt dla mło-
dzieży.

Skwarczyński organizuje nowy ruch młodzie-
ży, łączy się później z tajnym zespołem niepodle-
głościowym „Swit”. Młodzież ta pracuje społecznie
nie tylko wśród młodzieży szkolnej, ale przede
wszystkim robotniczej. Skwarczyński wyrabia się na
działacza społecznego. Milczący i zamyślony, pro-
sty w obejściu, jest stanowczy w ujawnianiu poglą-
dów i decyzji. Sumienny w myśleniu, i bystry
obserwator, w dziedzinie zagadnień ideowych zy-
skuje sobie autorytet.

Zachęcając młodzież do samokształcenia się,
Skwarczyński wiele nad sobą pracuje. Na tej pracy
upływa Skwarczyńskiemu ostatni rok pobytu w gim-
nazjum. Upodobania literackie, wrodzony dar wy-
chowawczy i potrzeba trwałego kontaktu z mło-
dzieżą spowodowała, że odrzucając karierę urzędni-
czą, wybrał polonistykę i zawód nauczycielski.

W r. 1905 powstaje we Lwowie Związek Wal-
ki Czynnej, którego zadaniem jest tworzenie
kadr i instruktorów do walki zbrojnej o niepo-
dległość. Organizacja nosi charakter tajnego sprzy-
sieżenia. Od tego czasu Adam Skwarczyński staje
się najgorliwszym członkiem związku, przechodzi
kurs podoficerski i oficerski, wreszcie jest jednym
z głównych wykładowców Niższej Szkoły Woj-
skowej.

Zetknięcie z Józefem Piłsudskim decyduje o
linii jego życia. W Z. W. C. przebywa Skwarczyń-
ski w atmosferze ludzi przejętych wiarą, która
płynęła z postaci Komendanta, wiarą w walkę o
niepodległość.

Skwarczyński nadal żywo interesuje się ży-
ciem młodzieży, pracuje społecznie przez Z. W. C.,
„Promień”, nową organizację „Życie” i P. P. S.
W prasie pojawiają się jego artykuły, silnie prze-
mawiające do młodych czytelników.

Kiedy w r. 1910 Józef Piłsudski przeniósł się
do Lwowa, i założył tu Związek Strzelecki, Adam
Skwarczyński wstępuje do Z. S. Po ukończe-
niu studiów obejmuje posadę nauczyciela w Ro-
hatynie. Po roku przenosi się z powrotem do Lwo-
wa. Prowadzi tu kobiecy oddział strzelecki, pracuje
w redakcji „Przedświtu”, organie PPS.

Powołany rozkazem Komendanta, udaje się do
Krakowa, gdzie jako oficer Sztabu I-ej Brygady
wyrusza z Komendantem z Krakowa 7 sierpnia.
Brał udział w walkach Legionów, prowadził wy-
wiady, werbuje ochotników, pracuje w P. O. W.
Zakłada tajne pismo „Rząd i Wojsko”, które
odzwierciedla zasadnicze potrzeby niepodległości.

W r. 1917 Adam Skwarczyński zostaje aresztowa-
ny przez Niemców w chwili drukowania „Rządu
i Wojska” i osadzony w Cytadeli. Zostaje zwol-
niony 12 listopada 1918 r. i wraca do niepodległego
Państwa Polskiego.

Obejmuje teraz pracę w tych dziedzinach, w
których zdobył duże doświadczenie. Od 1919 r.
obejmuje redakcję naczelną „Gazety Polskiej”.

Chrystus zmartwychwstał.

Chrystus zmartwychwstał! Z głębi świątyni
Bije, jak słońce ożywcze, wiara,
I blask się w mroku na świecie czyni,
I w proch upada zwątpienia mara.
Chrystus zmartwychwstał! Podnieście skronie,
I znowu skrzydła przypnijcie duszy!
Bo oto nędza i grzech się kruszy,
Bo oto Prawda siada na tronie!
Prawda przedwieczna, Miłość bezdenna,
Powstają z grobu w sile przemożnej,
I płynie Jego postać promienna,
Tam, gdzie się we łzach lud kaja trwożny.
Z krańca po kraniec ziemi szerokiej,
Dąży do litosną, przesmutną twarzą,
Idzie po łąkach cichymi krokami,
Gdzie mgły wiosenne w słońcu się ważą.
I do siół wchodzi i wiejską drogą
Spieszy, witając znajome kraje,
Gładzi po główkach dziatwę ubogą,
I niewidzialny na progach staje.
Patrzy z uśmiechem na lud prostaczy,
I błogosławi kmieciej robocie,
A wieś się kąpie w słonecznym złocie,
A z pola słyszać śpiewkę oraczy.
I podchwytyją głos ten skowronki,
Co srebrne piosnki dzwonią w błękitach,
I wieść radosną nuć z nad łąki,
I niosą sercem w wieści tej życie.
Zieleniejące słyszą je drzewa
I wtórzą szumem pieśni skowrończej,
I wiatr wiosenny leci z nią rączy,
„Chrystus zmartwychwstał!” — świat cały śpiewa.
Or-Ot.

Od 1920 do 1923 roku pracuje w Wydziale
Oświaty i Kultury w Ministerstwie Spraw Wojsko-
wych. Potem poświęca się pracy publicystycznej.
W maju 1926 staje znów przy boku Komendanta
na danym odcinku walki, wydając i redagując
„Nakazy Chwili”, pismo poświęcone sprawie re-
wolucji moralnej w Polsce.

W styczniu 1927 objął referat społeczny w
Kancelarii Cywilnej Prezydenta RP. Rozległa wie-
dza społeczna Adama Skwarczyńskiego, siła charak-
teru i entuzjazm sprawia, że staje się on w Pol-
sce autorytetem ideowym wielu organizacji i in-
stytucyj społecznych, którym równocześnie nie szcze-
dzi swych wysiłków. Niezwykle twórcza praca wy-
pełnia mu życie.

Zdrowie jego załamuje się. W r. 1929 traci
obie nogi.

Mimo to nie ustaje w pracy ideowej. Nie ko-
menderuje ani nie przekonywa, w rzadkich wypad-
kach daje decyzję i wskazania; pobudza natomiast
do samodzielnego myślenia nad sobą i rozwiązy-
wania zagadnień rozwojowych własnymi siłami.
Skupia wokół siebie młodych pracowników spo-
łecznych, organizując wymianę myśli. Z począt-
kiem 1934 r. z powodu choroby zmuszony jest prze-
wać pracę. Jeszcze w czasie choroby powołuje do
życia Towarzystwo Wiejskich Uniwersytetów Regio-
nalnych, które ma kształcić przewodników pracy
kulturalnej wsi.

Umiera w dniu 2 kwietnia 1934 r.

W uznaniu wielkich jego zasług złożył Pan
Prezydent R. P. wielką wstęgę orderu Polski Od-
rodzonej na jego trumnie.

Wielkanocne zabawy ludowe.

Gdy po zimie mroźnej i chmurnej powieją wiatry cieplejsze, słońce zajaśnieje wysoko, w gaju zaśpiewają ptaszęta i zazielenią się pączki i trawki, do serca ludzkiego wstępuje dziwna jakaś, młodzińcza radość i nadzieja.

To też nie dziw, że od wieków koniec zimy i pierwsze uśmiechy wiosny pobudzały ludzkość do jakiegoś uroczystego obchodu, do skupienia się i tłumnego witania nowego lata, do wyznaczenia sobie jednego jakiegoś dnia ku uczczeniu „święta wiosny“.

U wszystkich ludów, nie tylko w plemienu naszym, aryjskim, istniały lub jeszcze nawet istnieją tego rodzaju takie „ver sacrum“, rozbrzmiewa-

stopić niejako z obrzędami i uroczystościami kościelnymi. Tak np. dyngus i śmigus, zwyczaje oczywiście związane z myślą o ciepłych ulewach wiosennych, przeniesiono na ruchomy wprawdzie, ale kościelny już poniedziałek wielkanocny, i tak powstał „oblewany poniedziałek“, gdzie niegdzie „świętym lejem“ zwany.

Bardzo ładny opis takich obchodów wielkanocnych w Małopolsce daje nam J. Karłowicz.

Ciekawe zwyczaje mamy i do dziś dnia w tamtych stronach, gdzie pieśni, zwane tam „wiośniakami“, tłumne zabawy, nazywane „gajówkami“, przeniosły się z gajów na cmentarze kościelne i z późniejszej zapewne daty — na dni wielkanocne.



»Żuk«.

P. Stachiewicz.

jące pieśniami, sławiając tryumf dnia nad nocą, „przesilenie“, czyli zwalczenie ciemności mocą słońca i światła.

W okresie przedchrześcijańskim rachowano nowy rok od wiosny, a początek jego przypadał właśnie w dniach przesilenia dnia z nocą. Nie było ścisłych obliczeń astronomicznych, więc data przenosiła się czasem nieco wstecz czasami naprzód, odpowiednio do klimatu. U Słowian, gdzie prawdziwa wiosna dopiero z pierwszymi uśmiechami maja się rozpoczyna, uroczystości wiosenne święcił lud zaledwie w końcu kwietnia, albo na początku maja, jak o tym świadczy nasz „gaik“, „maik“ gdzieśniedzie zwany „nowym latkiem“, a na Śląsku do dziś dnia połączony z topieniem zimy, „marzaneczki“, „marzanny“.

Od wieków Kościół usiłował zatrzeć ślady obrzędów i obchodów pogańskich, a nie mogąc wypłenić ich doszczętnie, starał się połączyć je,

Gdy święta te nadchodzą wieśniacy, jakby się budzili z długiego snu zimowego: gospodynie czyśczą i myją domostwa, krzątają się koło święconego i dopomagają córkom do strojnego wystąpienia na zabawach. Główną ich troską jest, aby babka, zwana „paską“ pięknie się upiekła, w górę wyrosła, nie rozpadła się, bo to było by złą wróżbą. Dziewczęta farbują pisanki, a trzeba do tego dużo wprawy i cierpliwości, bo sekretów na różne barwy, desenie i wzory jest mnóstwo: trzeba wiedzieć, które części jajek pokryć woskiem, aby te miejsca skorupy się nie barwiły, jaka roślina, kora lub jagoda jaką daje barwę, co i jak na skorupce wyobrazić, jak nazwać i wykonać rysunek „w młynki“, „w gołąbki“, „w jodelkę“ i t. d., a która dziewczyna potrafi pokolorować jajka „w czterdzieści klinków“, ta uchodzi już za mistrzynię w tym fachu.

Po tym wszystko co żyje, śpieszy z „paską“,

pisankami i innym jadłem bardzo wczes przed kościołem, na obejściu rozkłada się koszyki z pieczywem, które ksiądz poświęca, a po nabożeństwie cała gromada podąża do domów, gdzie, rozpoczynając od ugotowanych jaj na twardo, spożywa się wśród wzajemnych powinszowań — święcone.

Ale dla młodzieży prawdziwa uciecha rozpoczyna się dopiero po południu. Chłopcy na wyścigi biegną pod kościół, i każdy choć trochę chce podzwonić, a kto pierwszy do sznura się docisnie, ten według wróżby najpierw się ożeni. Dzwonienie to przez trzy dni nie ustaje. Dziewczęta stroją się jak tylko mogą i umieją jak najpiękniej. Nie trudno im to przychodzi, gdyż typ podkarpacki jest z natury wdzięczny, a stroje dziewcząt naogół bardzo malownicze.

ry ludów w walkę dobrych i złych mocy, — życiodajnego słońca wiosną z martwością zimy, — dnia jasnego z ciemnością nocy. W zabawie tej chłopiec przedstawiający Pana Boga wsuwa nieznacznie pierścione w modlitewnie złożone dłonie jednego z malców, a diabeł każe zgadywać, kto go ma, mówiąc: „Wyjdź dydko z za góry, będziesz jadł pierogi.“ Diabeł szuka, a u kogo znajdzie pierścień, tego zabiera do siebie, u kogo nie trafi nań, ten idzie na stronę Pana Boga. Wreszcie cała gromadka dzieli się na Bożych i dydkowych, a wzięwszy gruby kij, zwany buławą, rozpoczynają o nią pozorną bitwę. Która strona zdobędzie lub utrzyma przy sobie to godło władzy, ta zwycięża, a wtedy wszyscy wołają: „Pan Bóg silniejszy“ albo „silniejszy dydko“.



Krzywy taniec.

P. Stachiewicz.

Zabawy popołudniowe pod kościołem bywają trojkiego rodzaju: dziewczęce, męskie i mieszane. Wszystkie łączą się prawie zawsze ze śpiewami i odznaczają się mniej lub więcej charakterem dramatycznym; są to niby zarodkowe widowiska, niby starogreckie igrzyska, ożywione akcją, gimnastyką, śpiewem. Rozmaitość tych gajówek czy gier jest wielką. Znany jest tam i „Zelman“, co to jedzie po pannę, a tej nie oddają ani na żydowski, ani na cygański, ani na dziadowski grunt, tylko na szlachecki lub też na królewski. Jest też i „przepióreczka“, co to w proso uciekła, są i „swaty“, co to żądają panny dla cygana, kowala i pańskiego syna, ale dostają wtedy gdy wymienia syna gospodarskiego. Zwraca uwagę stara gra jakaś, w której występuje Pan Boży i „dydko“ czyli diabeł oraz grono większych lub mniejszych chłopców. Gra ta jest jakby zobrazowaniem odwiecznej wia-

Inna znowu gra czynem i słowem opowiada historię, jak to „sieją mak“, albo też uczy ptaka, aby nie wyl gniazdka ani na lodzie, ani na leszczynie, ani na jaworze, ani na sosence, tylko „u grzecznej panny, w świetlicy“. Dziewczęta znowu pokazują, jak mąż szuka żony na jarmarku, wabi ją różnymi potrawami, ale ona dotąd nie chce wrócić do domu, aż się dowie, że kura wywiodła kurczęta i że trzeba im dać pszenicy.

W grach tych pogładowo, słowami, dykcją i śpiewem pokazuje się różne sceny z życia codziennego wieśniaków.

Przed niektórymi grami dziewczęta biegają „sznurem“, trzymając się za chustki i wywijając różne zygzaki, tańczą tak zwanego „krętego węża“ — rodzaj wijącego się węzowo jak sznurek koralu łańcucha dziewcząt.

Ulubioną też zabawą jest tak zwany „żuk“

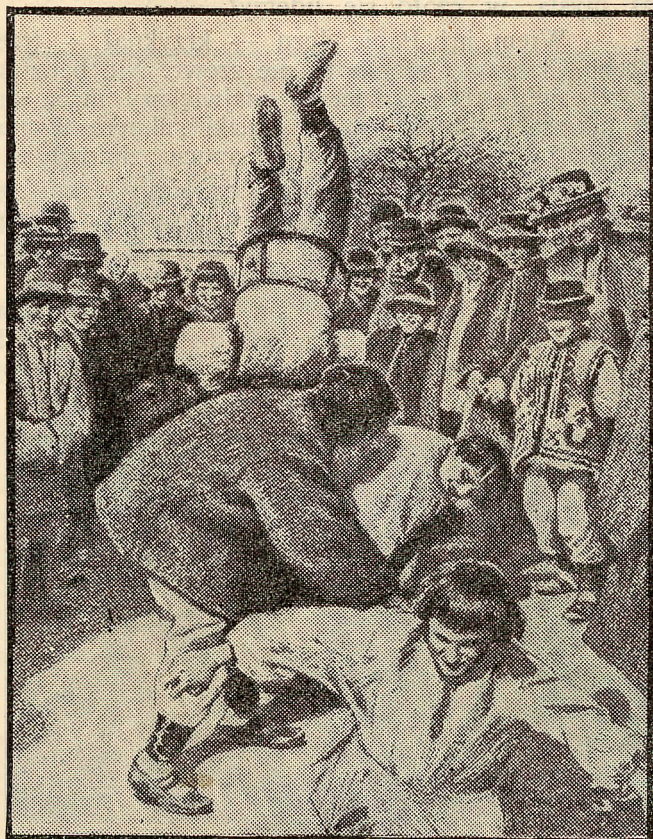
albo „deska wierzbowa“. Stając naprzeciwko sobie dwoma długimi szeregami i podając sobie ręce, tworzą dziewczęta niby żywy pomost — ową deskę wierzbową, na którą wchodzi dziewczynka nazwana żukiem. Gdy przejdzie przez ręce jednej pary, ta rozdziela się i zabiega naprzód, znowu ręce sobie podając, tak, że „żywa deska“ długo się nie kończy i czasami „żuk“ trzy razy kościół obejdzie, zanim się skończyła pieśń, śpiewana podczas tej zabawy. Słowa jej brzmią następująco:

Wierzbowa deseczka, deseczka
Chodzi po niej Nasteczka, Nasteczka
albo

Chodzi żuczek po żukach
A dziewczyna po rękach.
Na wsze strony się ogląda, ogląda,
I miłego wygląda, wygląda,
Skąd wiaterek zawieje, zawieje.
Stamtąd miły przyjedzie, przyjedzie,
A jak miły przyjedzie, przyjedzie,
Coś Natusi przywiezie, przywiezie,
To przywiezie bućki, bućki,
I podkówki z pozłotą, pozłotą,
Będą buty skrzypiały, skrzypiały,
A podkówki brzęczały, brzęczały.

Zwrotki te powtarzają się bez końca tylko z małą zmianą: zamiast bućków występuje w następnych sukienka, pierścioneć i t. d., aż dopóki się nie wyczerpie cała garderoba dziewczyny.

Zaś ulubioną zabawą starszych chłopców są tak zwane „łozy“ czyli wywijanie koziołków do góry nogami wokół sztucznej wierzby czyli łoży, którą tworzą dwaj parobcy, obrócenie do siebie plecami, a pochyleni naprzód tak, że ciała ich przybierają kształt rozchylonych konarów drzewa.



»Łozy«.

P. Stachiewicz.

Uciechą podrostków jest chodzenie z tak zwaną „wieżą“ t. j. stojąc jeden na ramieniu drugiego. Gdy taka wieża składa się z pięciu albo i więcej chłopców, wówczas zowie się „klastorem“, budząc podziw ogólny, gdy się jeszcze porusza, niby zaczarowany pałac z bajki.

Można sobie wyobrazić łatwo, jaki ruch i gwar tam panuje wśród tej zdrowej, rozśpiewanej czeredy młodzieńczej, która owiana łechtaczką wiosny, budzącej się ze snu zimowego cieszy się życiem. Bo choć matka-przyroda każe im ciężką pracę w polu i w lesie zdobywać sobie bardzo skromny byt, ale też i pięknie wynagradza ich cudownymi blaskami słońca, ożywczym powietrzem i ciepłymi gwiazdzistymi nocami, ogarniającymi cały świat uniesieniem, weselą i miłością.

Tradycyjny zwyczaj oblewania się nawzajem zimną wodą w wielkanocny poniedziałek sięga pogańskich czasów.

Plusk, plusk wedle studni,
Zóraw skrzypi, wiadro dudni,
Dookoła naród z sioła,
Ze trzy mendle, albo ludniej.

Jaki taki ze swą dziewczką
Ten z dzbanuszką, ten z konewką,
Co uchwyci, co ułapie,
To z dziewczyny aże kapie.

Plusk, plusk u koryta,
Korba chodzi, łańcuch zgrzyta,
Kole kłody, struga wody,
Každy leje nic nie pyta.

Stach podujął wpół Maryny,
I wiedzie ją pod cembrzyną,
Wawrzon scapił za półwiadrze,
Chlusnął Kaśce za zanadrze.

Plusku, plusku wedle stoku,
Bo to śmigus raz do roku,
Miły śmigus z czystej wody,
Nie narobi żadnej szkody.



»Śmigus«.

Z. Stryjeńska.

Pana Jezusowe trzewiczki.

Miało się już ku wieczorowi, gdy Kuba Jamrozik, szewc z Dziembówki, opuszczał powiatowe miasteczko, dźwigając na plecach pęk skór, zakupionych u Szymczyka, a w kieszeni butelczynę okowity dla pokrzepienia ciała.

Jamrozik chłop był mądry, wiedział zawsze, co komu poradzić w każdej potrzebie, a przecież raz mu się zdarzyło, że chytrył i mądrzył, ale napróżno. A wszystko zaczęło się właśnie tego wieczora, gdy śpieszył do domu. Skórzyśka w plecach mocno go uwierały, a ziąb na dworze był przenikliwy, chociaż wiosna na świecie się już robiła.

— Bodaj tam wiosna — myślał ze złością Kuba, grzęznąc w maźliwym błocie po kostki. — Mgła taka, że i na dwa kroki przed się nic nie widać — mrucał, potknąwszy się o kupę szutru przy gościńcu. Rzeczywiście mgła wisiała nad światem gęsta, biaława i tumanem obejmowała bezlistne drzewa i krzaki, co rozczapierały suche gałązki po obu stronach drogi.

Kuba szedł szparko, to też zmęczył się rychło i na chwilę przystanął, żeby pot z czoła obetrzeć.

Tymczasem mgła gdzieniegdzie się przetarla i szewc choć zdaleka zobaczył pierwsze chałupy w Wilgowie, z którego jeszcze mila była do Dziembówki, a właściwie to bliżej, jeżeli szło się przez olszynkę, którą gościniec okręzał półmиле prawie.

Kuba zawsze chodził przez łośzynkę i teraz nawet się namyślał, tylko zaraz za Wilgowem skreślił z drogi na lewo przy potoczku.

— Prawie jużem w domu — myślał z radością, znalazłszy się na leśnej ścieżynie wilgotnej i gliniastej, rozmięklej od zimowych śniegów i deszczów, które od św. Kazimierza padały bez przestanku. Kuba znał jednak na pamięć drogę i umiał wybierać suchsze miejsca, skakał jak kot przez bajora, aż chrzęściły skóry na plecach i chlupotała gorzałka we flasce, a może tylko woda na ścieżynie, gdy szewcowy obcas strącił do niej grudkę ziemi.

Zresztą w lasku było cicho jak makiem siał. Tumany mgły znowu gęstniały i snuły się, niczem białe duchy między drzewami, przysłaniając Kubie tak drogę, że już skakać nie mógł i parę razy omal nie ugrzązł na dobre w błocie.

— Pójdę chyba bokiem, pod drzewami będzie suszej — medytował Kuba i gdy raz jeszcze zapadł w bagno powyżej kostek, skreślił istotnie między drzewa. Gałęzie były go teraz po twarzy, krzaki czepiały za ubranie, ale iść było lepiej i Kuba dawno nawet był by w domu, cóż kiedy we mgle zgubił drogę. Chodził pośród drzewami w tę i tamtą stronę, szukając ścieżynki, która, jak mu się zdawało, powinna być po lewej ręce. A w lasku już ściemniało.

— Djabeł na pokuszenie mnie wodzi. Las znam od dziecka. Co niedziele szmyrałem tędy do domu od majstra Traczyka, gdzie mnie ojciec, Panie święc nad jego duszą, na naukę oddali. A teraz mało to razy po skórę i dratwy chodzę, a jeszcze nic mi się nigdy nie przygodziło — mrucał Kuba zafrasowany, że nie widać jeszcze Pana Jezusowej kapliczki, od której do Dziembówki w mig przejdzie.

Zaczął nawet ze strachu głośno się modlić, Matkę Boską ze świętymi na pomoc przyzywać i właśnie, gdy kończył trzecie Zdrowaś, zobaczył przed sobą leśną kapliczkę.

Uradował się też bardzo i żywiej ku niej naprzód ruszył. Pod kapliczką skóry na ściętym pnaku położył i sam obok przysiadł, bo serce tłukło mu się młotem w piersiach ze strachu i zmęczenia, a w uszach dzwoniło jak na Anioł Pański. Wyjął Kuba z kieszeni flaszkę gorzałki, łyk dobry pociągnął i zaraz poczuł się lepiej. Spojrzał na ubożuchną kapliczkę, w której na ołtarzyku siedział Dzieciątko Jezus. Jedną rączynę wzniosło do góry, jakby błogosławiąc ludzi, którzy przechodzili, a nawet czasem przyklękali, żeby się pomodlić, a w drugiej trzymało kulę z krzyżykiem.

Wiedział Kuba od starej Margośki żebraczki, która po odpustach chodziła i znała historie wszystkich cudownych obrazów i świątków w okolicy, że owa kula, którą trzymał Pan Jezus, wyobraża świat cały.

— Dziwne, takie małe Dzieciątko da radę świat utrzymać i wsie i miasta i wszystko — myślał Kuba, patrząc na Pana Jezusa, który uśmiechał się z tych medytacji Kuby i patrzył na niego do brotliwie.

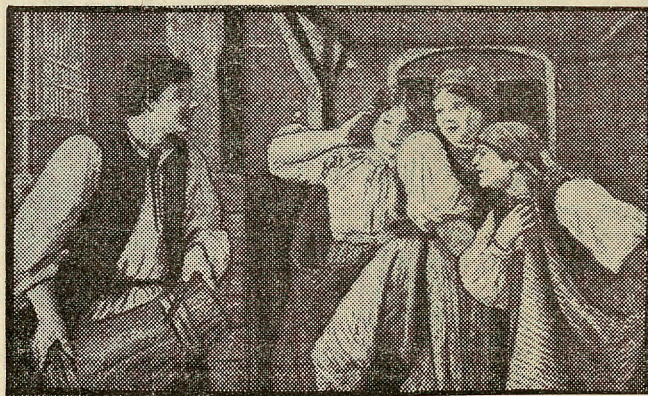
Rozczulił się szewc, widząc ową dobroć Jezusową, a litość poczuł w sercu, gdy zauważył, że z pod długiej sukieneczyny wyglądają bosa stopki Przenajświętszego Dzieciątka.

— O mój Ty słodki Jezusku, taki ziąb na świecie, a Ty bosi niebożę — ze łzami w oczach mówił Kuba i zbliżył się do kapliczki, Pana Jezusa po rączce pogłaskał i nagle, jakby tknięty jakimś myślą, w czoło się uderzył.

— Wiem już Panie Jezu — krzyknął — trzewiczki Ci uszyję, albowiem to nie szewc. Nie będziesz więcej ziębła Boża dziecino, największy mróz nie Ci nie robi, bo w środku buciki sukrem wymoszczę i będą jak prawdziwe papucie zimowe.

Pan Jezus, słuchając obietnicy Kuby, jakby jeszcze radośniej się uśmiechnął, a szewc wyciągnął miarkę z kieszeni, zmierzył stópkę Bożej Dzieciny i zadowolony ze swego pomysłu mówił dalej:

— Zobaczysz Panie Jezu, że podeszwy dam grube, żeby nie przemiękły, jak dziś moje na wilgoci. Będziesz miał Panie Jezu pamiątkę od Kuby



za to, żeś go dziś z olszynki wyprowadził, będziesz miał pamiątkę... — mruczał Kuba, biorąc znowu skóry na plecy i ruszając do Dziembówki, gdzie dobił w chwil parę.

Na drugi dzień skoro świt wziął się Kuba żywo do roboty. Miał przybić zelówki do proboszczowych butów, a córce sołtysa z Wilgowa zrobić pantofle z lakierowanej skóry, nic więc dziwnego, że o Pana Jezusowych trzewiczkach ani pomyślał. Dopiero wieczorem, gdy spać się położył, przypomniał sobie wczorajszą swą obietnicę i uczuł wyrzuty sumienia, ale rychło się uspokoił.

— Jutro przyrzekłem Panu Jezusowi przynieść trzewiczki, a takie małe, jak dla dziecka, to za jedno przedpołudnie zmajstruję.

Nazajutrz istotnie wziął się Kuba do roboty trzewiczków dla Pana Jezusa. Właśnie je wykroił z kawałka pięknej brązowej skóry, gdy przyszedł wójt buty sobie zamówić, a zobaczywszy na warsztacie Kuby skrajane trzewiczki zaraz zapytał:

— Dla kogo to takie małe buciki szyjecie?

Kuba już miał opowiedzieć co i jak, ale nagle mu się wstyd zrobiło.

— Jeszcze by się wójt ze mnie naśmiewał, że taki głupi i figurce Pana Jezusa obiecałem butki — myślał, a wójt tymczasem oglądał skrojony trzewiczek.

— Piękny kawałek, niema co, ale dla kogo?

— Sam jeszcze nie wiem — kręcił Kuba.

— To możebyście mnie sprzedali, jak skończycie, w sam raz wyglądają dobre dla Hanki. Cztery roki teraz kończy i nigdy jeszcze bucików nie miała — mówił wójt.

— Ano dobrze — zgodził się Kuba, biorąc miarę na wójtowe buty. Gdy wójt wyszedł, uczuł Kuba znowu wyrzuty sumienia, ale prędko się pocieszył, myśląc:

— Panu Jezusowi zrobię inne, jeszcze ładniejsze buciki, a za te wójt dobrze mi zapłaci.

I nie mylił się Kuba, wójt mu dał aż trzy złote, a buciki pasowały na Hanusińską nogę, jakby na miarę szyte.

A czas mijał i Kuba Panu Jezusowi bucików nie zrobił. Przeszła wiosna, ba lato już nawet się skończyło, a Pan Jezus w drewnianej kapliczce wciąż siedział bosy, trzymając w rączce świat cały. Kuba teraz nie lubił do miasta chodzić przez olszynkę koło kapliczki, bo mu się zdawało, że Boga Dziecina patrzy na niego z wyrzutem, chociaż naprawdę nic nie był winien, że dotąd przyrzeczenia nie dotrzymał.

Może jednak zmiękło by serce Kuby, gdyby raz bodaj na jesieni spojrzął na bosego Pana Jezusa. Cóż kiedy w jesieni wybuchła wojna i szewo wraz z innymi na nią poszedł.

Nabiedował się Kuba podczas wojny i nawojował, ot, jak każdy żołnierz, to też gdy nastał pokój, śpieszył się bardzo do domu. Powrócił jednak jakiś smutny i zafrasowany. Robak go gryzł okrutny, czy trapiła zmora — niewiadomo. Chodził z kąta w kąt, aż żal było na niego spojrzeć. Roboty teraz nie miał wiele, bo skóry podróżowały i ludziska tylko drewniane chodaki nosili, gdzie niegdzie skórzanymi łatkami podbijane. I bieda była straszna, ale nikt nie był tak smutny, jak szewc Kuba, który miejsca sobie znaleźć nie umiał. Aż pewnego dnia wpadło mu coś do głowy. Siadł rankiem do warsztatu, wygrzebał skądś kawałki cienkiej, pięknej skóry i buciki dziecinne robić zaczął. Pracował przez dzień cały, a następnego dnia akurat w sam Wielki Piątek wziął buciki pod pachę, a czapkę na głowę i wybiegł z domu.

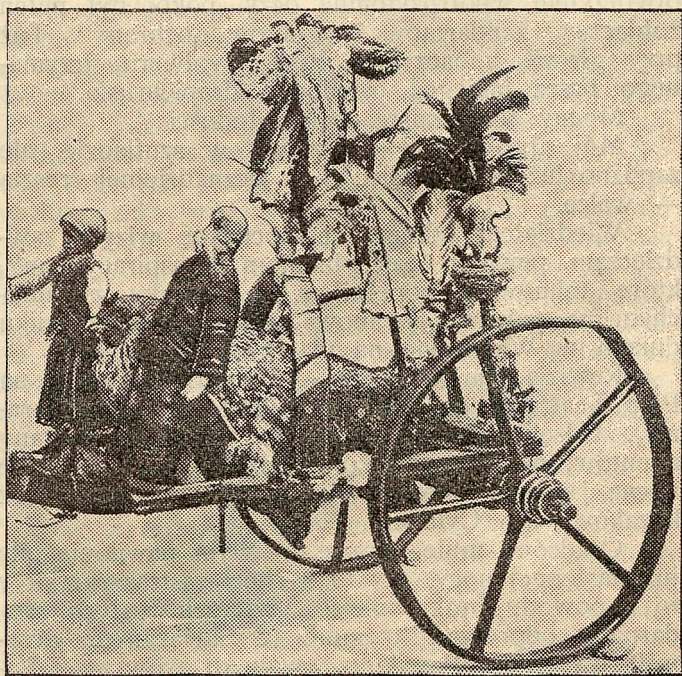
— Zwariował chłop na tej wojnie — rzekła płacząc żona Kuby.

Ale Kuba wcale nie zwariował, tylko biegł do olszynki zanieść Panu Jezusowi obiecane niegdyś trzewiczki.



»Gajk«.

A. Kędzierski.



Kurek wielkanocny z Opoczyńskiego.

(Ze zbiorów Muzeum Etnograficznego w Krakowie.)

Jakież jednak było jego zdumienie, kiedy zamiast kaplicy z małą Dzieciną zobaczył wysoki krzyż, a na nim rozpiętego Chrystusa. Cierniowa korona wieńczyła skronie, a z dużych stóp Chrystusowych, przybitych gwoździemi, spływały czerwone krople krwi.

Kuba stał bezradny, ściskając w ręku maleńkie trzewiczki, które teraz na nic się nie zdały, gdy wtem usłyszał płacz. Odwrócił głowę i zobaczył skuloną opodal małą dziewczynkę, drżącą od chłodu pod łachmanami. Kuba postawił trzewiczki na ziemi u stóp krzyża, a sam podszedł do dziecka.

— A co ci to mała? — spytał.

Dziewczynka jednak płakała ciągle i umilkła dopiero wtedy, gdy Kuba dał jej krawankę chleba i okrył swoją kapotą. Po chwili opowiedziała, że nazywa się Zosia i tata jej zginął na wojnie, a mama umarła.

Witold Żbikowski

Święta wielkanocne w IX pawilonie.

(Wspomnienia b. bojowca.)

Marzec 1906 roku — a więc tylko 31 lat temu!...

Jako „bezrobotny“ student (Uniwersytet Warszawski był wówczas zamknięty), popełniałem masowo poezję, dawałem lekcje literatury, marzyłem i... marzyłem w swym kawalerskim pokoju.

Któregoś wieczoru wróciłem wyjątkowo zmęczony i, okręciwszy nogi pledem, zasiadłem do pisania.

Dziwnie nie szło mi jednak. Zbliżały się Święta Wielkanocne i myśl mimowoli krążyła ciągle nad zagubionym wśród lasów dworkiem wiejskim, nad ukochanym szpalerem brzoźowym, — docierała do zacisznych, dobrze ogrzanych pokoi, zaglądała nawet niedyskretnie do wielkiej kuchni, gdzie prawdopodobnie wrzała już praca na dobre...

Zasnąłem...

Kiedy, zbudzony jakimś niezwykłym hukiem, otworzyłem półprzymknięte oczy, pokój był pełen żołdactwa, żandarmów i agentów „ochrany“. Tuż przy głowie zobaczyłem lufę rewolweru, trzymanego przez jakiegoś cywilnego drapichrusta.

Mocny jest, zaiste, sen młodości...

Mój „browning“ spoczywał w szufladzie, ale zapóźno już było myśleć o — beznadziejnej zresztą — walce.

Wiedziałem odrazu, że nocną tę wizytę zawdzięczam pewnym „uchybieniom konspiracyjnym“, które mimowoli popełniłem w związku z zamachem na generała Iwanowa, zabitego przed kilkoma dniami w Warszawie na ul. Brackiej.

Rewizja, aresztowanie i smutny pochód na Plac Teatralny do jednej z sekretnych cel „ochrany“. Udreka pierwszych badań, brutalne szykany agentów, niewypowiedziane znużenie — i wreszcie nocna jazda w karetce więziennej, okrążonej przez kozaków, do Cytadeli.

Osadzono mnie narazie w X-ym pawilonie, ale już następnej nocy, czy to z chęci zastraszenia, czy to z powodu braku miejsca, czterech rośliwych żandarmów odprowadziło mnie (z zawiązanymi oczami!) do IX-go Pawilonu, zwanego wówczas „Pawilonem skazańców“.

Była to Wielka Środa...

Rygor w IX-ym Pawilonie był bardzo surowy, ale mniej „subtelny“ pod względem izolacji od

Zafrasował się Kuba, słuchając sieroty, a po chwili zapytał:

— A poszłabyś ze mną? Dałbym ci jeść i nie byłoby ci już nigdy zimno.

Dziecko patrzyło na Kubę zdziwionymi oczyma, wreszcie przytuliło się do niego serdecznie, więc szewc wziął je na ręce, a przechodząc koło krzyża, widział jak Pan Jezus w cierniowej koronie uśmiechał się tak słodko, jak Boże Dzieciątko z dawnej kapliczki, którą zburzyła wojna. Pochylił się więc Kuba i do okrwawionych stóp Chrystusowych usta przycisnął. Tymczasem mała Zosia zobaczyła leżące pod krzyżem trzewiczki i wyciągnęła po nie rączki. Zawahał się przez chwilę Kuba i spojrzał w twarz Zbawiciela, który uśmiechał się jednak łagodnie, a uśmiechał się ciągle jeszcze nawet wtedy, gdy Kuba, włożywszy dziecku buciki, poszedł z nim do swego domu.

rygoru, panującego w pawilonie X-ym, gdyż straż pełnili żołnierze, a nie żandarmi.

To też zaraz następnego dnia dowiedziałem się, że większość cel, t. zw. „seperatek“, zajęta jest przez skazanych już na śmierć „przestępców“... A działały wówczas sądy polowe i skazanych rozstrzeliwano gromadnie. Byli między nimi członkowie ówczesnej Organizacji Bojowej Polskiej Partii Socjalistycznej, ale byli również i t. zw. „eseresy“, t. j. socjal-demokraci, poza tym również anarchiści, a nawet zwykli bandyci, podszywający się pod zaszczytną nazwę „rewolucjonistów“. Byli ludzie odważni, którzy cicho z godnością szli na śmierć, — ale byli i tacy, którzy ryczeli, jak zwierzęta, gdy ich wyciągano z cel na ostatnią wędrówkę...

Denerwowało to strasznie i spędzało sen z powiek, gdy skazańców wyprowadzano z cel nad ranem.

Jeszcze w Wielką Sobotę stracono czterech, którzy nie chcieli iść dobrowolnie i żandarmi wywlekali ich przemocą...

I oto nadeszła Wielkanoc...

Rozkołysały się i rozspiewały dzwony Świątyni warszawskich, głosząc, że oto Zmartwychwstał Ten, który głosił Miłość, Sprawiedliwość i Przebaczenie, — Ten, który poniósł śmierć męczeńską w imię braterstwa ludzi...

Jak dziwnie brzmiał odgłos tych dzwonów w ciasnej i brudnej celi więziennej...

Pamiętam, że serce załomotało nagle w piersi i palące łzy przysłoniły oczy.

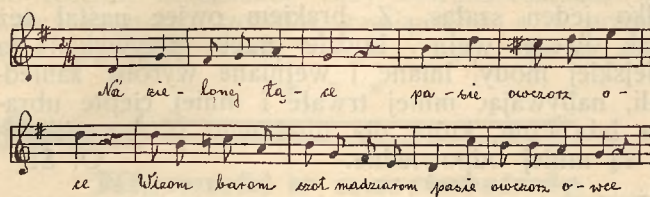
I łez tych wstydzić się nie będę nigdy, jak nie wstydzę się, że w owej chwili — ja, ówczesny polski bojowiec socjalistyczny, powtarzałem, jak dziecko pacierz...

A umęczona myśl leciała hen! poza potężne mury Cytadeli do przepełnionych świątyni, do rodzinnego domu, do wolności...

Z jakże odmiennym uczuciem ja i moi dawni towarzysze-bojowcy słuchamy dziś grania tych samych dzwonów wielkanocnych, które teraz nad Wolną Polską dźwięczą już nie nutą żałoby i rozpacz, jak przed 31 laty, — ale pieśnią radości i mocy...

* * *

Na zielonej łące...

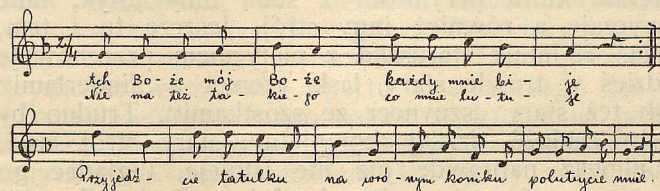


1. Na zielonej łące, pasie owczorz owce,
Wizom, barom, stoć madziarom, pasie owczorz owce.
2. Gazda ich rachuje, czterech ich brakuje.
Wizom, barom, stoć madziarom, pasie owczorz owce.
3. Gazda sie go pytał, gdzieś ty owce podziół.
Wizom, barom, stoć madziarom, pasie owczorz owce.
4. Ach mój miły panie, idzie troska na mnie.
Wizom, barom, stoć madziarom, pasie owczorz owce.
5. Czterzo wilcy przyszli, cztery owce wzięli.
Wizom, barom, stoć madziarom, pasie owczorz owce.

Zanotowała: Olga Stuligłówna, D. Łomna.

* * *

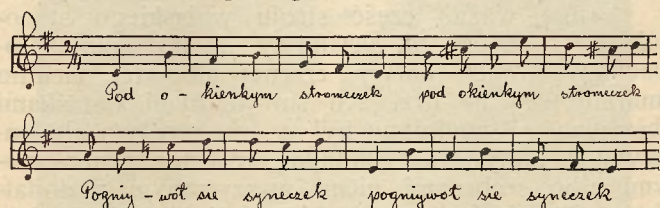
Ach Boże, mój Boże...



1. Ach Boże mój Boże, każdy mnie bije,
Nie ma też takiego, co mnie lutuje.
Przyjdźcie tatulku na wronym koniku,
Polutujcie mnie.
2. Już tatulek jedzie i drzwi otwiera,
A na zięcia swego rączyczką kiwa:
Dobrze zięciu dobrze, aż jej skórę odrzeż,
Niech cię posłucha.
3. Ach Boże, mój Boże, każdy mnie bije,
Nie ma też takiego, co mnie lutuje,
Przyjdźcie mamulko, przyjdźcie mamulko,
Polutujcie mnie.
4. Już mamulka jedzie i drzwi otwiera,
A na swego zięcia głowiczką kiwa,
Dobrze zięciu dobrze, aż jej skórę odrzeż,
Niech cię posłucha.
5. Ach Boże, mój lutuje,
Przyjdźcie siostrzyczko polutujcie mnie
6. Już siostrzyczka szwagra oczkami mruga
Dobrze szwagrze posłucha.
7. Ach Boże, mój lutuje.
Przyjeździe braciszku polutujcie mnie.
8. Już braciszek jedzie i drzwi otwiera,
A na swego szwagra szablę dobywa,
Oj ty szwagrze ostry, nie bij mojej siostry,
Bo to krew moja.

* * *

Pod okiynkym strómecek...

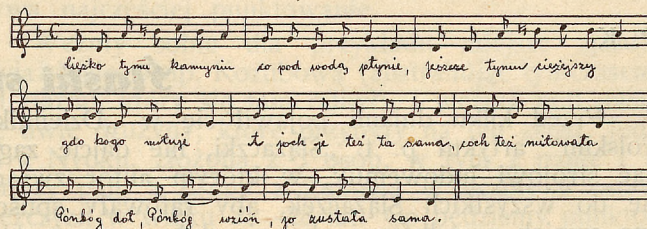


1. Pod okiynkym strómecek, pognijwot sie syneczku.
2. Nie gniywej sie syneczku, przydź wieczór k okiyneczku.
3. Inszy chodzą każdy dziyń, ty inny roz za tydziyń.

4. Przydź syneczku w niedziele, łódeczko ci uścielę.
5. Łódeczko jaworowe, a pierzynki kwapowe.
6. Nad łódeczkym wisi hok, powiesz se swój kabot.
7. Nad łódeczkym gwoździczek, powiesz tam kłobuczek.
8. Spuścił kłobuk na ucho, z Panymbogym dzioucho.
9. Spuścił kłobuk na obie, nie pójdę już ku tobie.

* * *

Cieżko tymu kamiyniu...



1. Cieżko tymu kamiyniu, co pod wodą płynie,
Jeszcze tymu cięższy, gdz kogo miłuje.
A joch też je ta sama, coch też miłowała,
Pónbóg dot, Pónbóg wioń, jo zustała sama.
2. Rozpominej se syneczku, na mój żalorny płacz
Lebo se mie teraz weż, lebo mi wiońek wróc.
Jo ci wiońka nie wrócę, ani cie nie weznę,
Ale jo ci dzioucho poczcziwość zapłacę.
3. Wylczył ji piniążki na lipowym stole,
Pódz se miła podziwać, jesi tego dość je.
Tego jeszcze je mało, jeszcze musisz przysuć,
Za poczcziwość sztyrysta, za wiońeczek tysiąc.
4. Zebrała jich zebrała do swoigo klina,
Co sie na nich podziwo, łzami ich oblywo.
Zebrała jich zebrała do biolej szateczki,
Nie deście sie cyganić, chudobne dziyweczki.

Śpiewała p. Kubicowa F. z Łazów.

Zanotował: tekst Karol Piegza, melodię Eugeniusz Fierla.

* * *

Dolina Łomnej.

Bodaj która wioska na Śląsku mogłaby się pochlubić tak piękną i uroczą doliną, jaką jest Łomna. Dolina Łomnej znana była już przed 200 laty. Nazwa tej miejscowości pochodzi od bystrej rzeki Łomnej, gdzie według podań przed 200 laty była wielka ilość połamanego drzewa, leżącego w dolinie i korycie rzeki, przez które nikt do góry wzdłuż rzeki przedostać się nie mógł, przeto od tych złomów drzew otrzymała rzeka i gmina swą nazwę „Łomna“. Przed 200 laty założono na górach sałasze, na których do dziś dnia wypasają trzodę. W zaroślach kryło się dużo dzikiego zwierza, a także zbójów, którzy napadali i zabijali podróżnych. Osada „Ondrasze“ nosi nazwę od słynnego zbója Ondraszka, który ze swą bandą zbójek Janoszką i Torgolim przebywał w tutejszych Beskidach. Niejeden kupiec, niejeden podróżny, jadąc drogą przez Mosty do Węgier, stracił mienie i życie z rąk tych opryszków. W lasach okolicznych spotykano także niedźwiedzie. Ostatniego niedźwiedzia zabił Sikora z Górnej Łomnej idąc w zimie w r. 1858 do kościoła na raty. Od tego zdarzenia nazwano osadę „Do niedźwiedzi“. Ostatniego orla zastrzelono na Kozubowej w r. 1898, a ostatniego żbika chwycono do łapki w r. 1901. Wydrę widziano w r. 1902. Dziś w tutejszych lasach napotkać można tylko jelenie, sarny,

zające, lisy, kuny, rzadko borsuki i dzikie świnię.

Przed 40 laty była tylko jedna nazwa Łomnej, lecz w r. 1898 podzielona została na 2 części, Dolną i Górną Łomnę zwaną także Sałajką, do której śpieszą pielgrzymi na odpusty, gdzie doznawają łask i wysłuchania prośb u cudownego źródła, obok którego jest zbudowany piękny w goetyckim stylu kościół, ufundowany w r. 1896.

Przed stu laty trudniła się ludność więcej chowem bydła i owiec. Siły wodnej używali obywa-

tele we własnych młynach, tartakach. Na górach zakładano szałas, wypasano trzodę, która dostarczała ludności mięsa, mleka, masła, bryndzy, wełny. Z czasem łąki zalesiono tak, że pozostał do dziś tylko jeden szałas. Z brakiem owiec nastał też brak owczej wełny. Ludzie przeto przywykali do miejskiej mody, lniane i wełniane wyroby zaniedbali, nabywając mniej trwałe i mniej ciepłe ubrania fabryczne, które dla tutejszego ostrego klimatu są mniej odpowiednie. O. St.

P. K.

Śląski strój ludowy.

Przed kilku dniami pojawił się w „Dzienniku Polskim“ artykuł p. t. „Ślązaczk, nie dajcie zaginać strojowi ludowemu“, w którym autor zwraca się do wszystkich Ślązaczek, aby ratowały spuściznę swoich przodków i aby nie dały zaginać strojowi ludowemu, który jest zewnętrznym wyrazem duszy i myśli śląskiej. Apel ten i głośnie wołanie jest bardzo na czasie i nie powinno być głosem wolającego na puszczy.

Kto urodził się na Śląsku i kraj ten szczerze kocha, musi ze smutkiem stwierdzić, że to piękne i rodzime, to naprawdę artystyczne co serce i ręce śląskie zrobiły, co przez wieki całe pokolenia pielęgnowały i wysubtelniały, to ginie, idzie w poniewierkę albo zupełnie się przeobraża, stając się dziełem zimnej, bezmyślnej maszyny. Lecz ginie i wyradza się nie tylko strój śląski ale razem z nim deprawuje się prosta dusza śląskiego człowieka, która przez wieki w tym stroju mieszkała.

Wyczuł tę zmianę duszy śląskiej piewca ludowy, Jan Kubisz, który w swoich wierszach żali się, że „ludzie zmienili się bardzo, zwyczajami, wiarą przodków ledwie że nie gardzą“. Dzisiaj można już opuścić wyraz ledwie i śpiewać, że wielu Ślązaków już naprawdę gardzi nie tylko zwyczajami i wiarą, ale i strojem swoich przodków. Uderzmy się w piersi i przyznajmy się szczerze, że pozwoliliśmy zaginać męskiemu strojowi ludowemu — nie pozwólmy jednak, aby zaginał i kobiecy śląski strój ludowy, który dotychczas na Śląsku istnieje i jest jeszcze bardzo rozpowszechniony.

Nie jest to jednak ten dawny, bogaty i piękny strój ludowy, lecz strój nowy — boleśnie skaleczony i przez obcych niegustownie pozmieniany. Trzeba strój ten ratować a przede wszystkim oczyścić go z obcych naleciałości i przywrócić mu dawne piękno i świetność. Trzeba, aby cały Śląsk zainteresował się tą sprawą i wszczął jakąś akcję, jakąś propagandę, która miałaby na celu ratowanie i chronienie dorobku kulturalnego naszych przodków. W pierwszym rzędzie powinny zabrać głos same Ślązaczki, ich towarzystwa i związki, dalej Sekcja nauczycielek kobiecych robót ręcznych, no i ślascy artyści, którzy by mogli służyć niejedną cenną radą i na niejedną niegustowność zwrócić uwagę. Chodzi o to, aby któraś z ruchliwszych instytucji, czy też organizacji rzuciła na Śląsk stosowne hasło i potrafiła do sprawy zapalić cały ogół. Chcąc jednak zabrać się do takiej akcji, trzeba najpierw ten stary strój poznać. W tym celu podajemy kilka uwag o stroju śląskim, które ktoś z kompetentniejszych napewno w następnych numerach „Ogniwa“ rozwinię i należycie objaśni.

Na Śląsku Ciesz. były kiedyś trojakie stroje kobiece: laski, wałaski i góralski. Strój laski noszono od Bogumina po Cieszyn, strój wałaski od Cieszyna po Jabłonków, a strój góralski w miejscowościach podgórskich i w samych górach począwszy od Jabłonkowa po granicę słowacką.

Pierwszy strój, t. zn. laski — już zupełnie zaginał i dzisiaj nie istnieje. Wyparła go miejska moda, wprowadzona przez napływową ludność zagłębia, która przyniosła z sobą inny język, inne zwyczaje a również inny strój. Jeszcze tu i tam, jakaś 80-letnia staruszka z pietyzmem przechowuje gdzieś w trówie stary, laski czepiec z „finderlami“ lub też stary „szpyncer ze szóstkami“. Trudno by było znaleźć dzisiaj kompletny, stary strój laski, ponieważ naprawdę już nie istnieje. Oglądać go jeszcze można na starych fotografiach albo też w muzeach.

Drugi strój — wałaski — cieszyńskim zwany — jest najwięcej lubiany i najbardziej na Śląsku rozpowszechniony. Świadczy o tym fakt, że potrafił on wyprzeć z niektórych okolic podgórskich starszy ale mniej ozdobny strój góralski. Nazwa „wałaski“ może pochodzić z dwóch źródeł: 1) od Wałachów, którzy przez kilka wieków wypasali swoje trzody w naszych górach i którzy ten strój mogli do nas przynieść, albo też 2) od materii (sukna i guni), które Wałasi wyrabiali i z których się te stroje ludowe kiedyś szyło. Drugie twierdzenie zdaje się być prawdopodobniejsze, ponieważ na całej Wołoszczyźnie, skąd Wałasi, przyszedł takiego stroju nie spotykamy.

Strój wałaski był jeszcze przed kilkudziesięciu laty bardzo ładny i bogaty, dopiero w ostatnich latach uległ bardzo niekorzystnym i niegustownym zmianom. Stary strój wałaski składał się z tych samych części co i dzisiejszy strój, t. zn. kabotka, żywotka, sukni, fartucha, wstążki (pasu), czepca i chustki. Stary kabotek czyli koszulka miał bufiaste rękawy zakończone „manżetami“ albo „krauzami“. Był koło szyi i rękawów bogato wyszywany. Pod szyją był zapięty srebrną „brożką“ albo też kościaną „szpinką“. Koloru był śnieżno-białego.

Drugą ważną część stroju wałaskiego stanowił „żywotek“, t. zn. aksamitny, do minimum sprowadzony gorset, barwy czarnej albo też ciemno amarantowej, na brzegach suto złotymi wstążkami obszywany. Wypełniony był w tyle prostym ale gustownym motywem roślinnym, również grubo złotymi albo srebrnymi nićmi wyszywanym z dodatkiem różnych świecących blaszek i złotych paciorków. Z przodu stanowił żywotek tylko wąski pas nad suknią ale z tyłu był szerszy. Miał w środku

trójkątny niby daszek, zdobiony prostopadłymi naszyciami złotymi. Z boków znajdowały się t. zw. ramiączka, których brzegi były również obszywane złotymi wstążkami. Cały żywotek składał się więc: z paska, szczytku, ramiączków a z przodu miał „strzybne hoczki“.

(C. d. n.)

* * *

Sport

Kierunki w narciarstwie i Zjazd Gwiazdzisty.

W narciarstwie jakoteż w każdym innym sporcie można odróżnić dwa kierunki. Jeden, oparty na współzawodnictwie jednostek czy też drużyn, to sport zawodniczy albo widowiskowy, bo z tego współzawodnictwa robi się często widowiska publiczne, drugi kierunek polega na uprawianiu danego sportu dla przyjemności i odpoczynku po pracy zawodowej, jest to zorganizowanie wolnego czasu tak, by połączyć przyjemne z pożytecznym. Ten drugi kierunek nazywa się też wypoczynkowym lub rekreacyjnym, a w narciarstwie można by go nazwać turystycznym. Wszelkie nasze zawody narciarskie, to kierunek zawodniczo-widowiskowy, zaś wycieczki w góry, różne tury i t. p., to kierunek rekreacyjno-turystyczny. Do imprez mających zarówno cechy sportu zawodniczego jak i rekreacyjno-turystycznego należą wędrowki na pewnym odcinku turystycznym, mającym znaczenie historyczne np. marsz szlakiem II brygady, różne rajdy, zorganizowane trampingi, zjazdy do jakiegoś punktu zbornego np. zjazd gwiazdzisty i t. p.

U nas odbył się niedawno taki zjazd gwiazdzisty, poświęcę więc tego rodzaju imprezie parę

słów. Przystępuję wprost do rzeczy. W takiej imprezie rozchodzi się o to, by zebrać w pewnym miejscu jak najwięcej narciarzy. Cel tego? — W różnych towarzystwach, na różnych terenach i w różnych środowiskach — różny. Powiedziałem już, że impreza ta ma zarówno cechy sportu zawodniczego jak i turystycznego. W sporcie zawodniczym jest zawsze to, iż jeden wygrywa a drugi przegrywa, ktoś jest pierwszym, ktoś drugim, trzecim i t. d. Tak samo jest w zjeździe gwiazdzistym. Trzeba więc klasyfikować. Metodą klasyfikacyjną bywa najczęściej punktowanie.

Weźmy sobie dla przykładu miejsce zjazdu gwiazdzistego np. Kozubową (abstrahując tymczasem od zjazdu, który się tam odbył), i weźmy pod uwagę dwie drużyny, które przybyły na ten zjazd. Jedną z Nydku, złożoną z 3 osób, w tym 2 panie i 1 starszy pan, a drugą z Żukowa w liczbie 9 osób, mężczyzn w wieku 22—28 lat. Co będziemy punktowali? Widzimy z przykładu, że trzeba brać pod uwagę odległość. Można to robić w ten sposób, że z góry oznacza się jakieś minimum np. 5,10 km, za które daje się pewną ilość punktów, zaś za każde dalsze np. 5 km dolicza się znów pewną ilość punktów. Tak jest wtedy, gdy nie wiemy z jakich miejscowości przybędą drużyny, albo gdy nie mamy ustalonych punktów, z których można wyruszać na zjazd. W przeciwnym wypadku można tę odległość obliczyć z mapy podług punktów, przez które drużyna przechodziła i skąd ma potwierdzenie, albo też w inny sposób, ale z góry ustalony. Dalszymi czynnikami, które trzeba koniecznie brać pod uwagę, to wiek i płeć, bo nie jest chyba obojętnym czy w drużynie pójdzie 60-letni mężczyzna czy 15-letnia dziewczynka. Co do mężczyzn, to wiek od 20—30 lat otrzymuje pewną z góry oznaczoną ilość punktów, zaś ci powyżej i poniżej tego wieku otrzymują prócz tego dodatkowo pewne punkty, przy czym w górę są jeszcze zróżnicowania a więc od 30 do 40, 40—50, 50—60 i t. d. i im wyższy wiek, tym jest większy ów dodatek punktów do normalnego i wyjściowego wieku, t. zn. 20—30 lat. Bo jasne, że ten z 6-tym krzyżykiem musi otrzymać więcej punktów niż za ten sam wyczyn ten 35-letni. Kobieta otrzyma tę samą ilość punktów co mężczyzna plus dodatek za swoją kobiecość. U kobiet jest trochę inny podział na kategorie wiekowe, za podstawę do obliczeń bierze się wiek od 17 do 27 lat i znów w górę co dziesięć lat inna kategoria wieku, punkty dodatkowe, również w dół. Ów podział na kategorie wiekowe jest różny u różnych ras. U nas można z całą pewnością zastosować podział używany w P. O. S.

Co do czasu, to czasem się go uwzględnia przy punktacji, czasem nie, zależy jaki charakter chcemy dać naszej imprezie, czy bardziej zawodniczy, czy też turystyczny. Główną rzeczą jest, aby uczestnik przybył na pewną godzinę, z góry oznaczoną, czy też dzień do punktu zbornego.

Inny czynnik, który można uwzględnić, to ilość osób w drużynie. Dolna granica bywa czasem ograniczona jak np. u nas 3 minimum, zaś górna bywa bez ograniczeń przeciwnie czasem dolicza się punkty dodatkowe za osoby ponad pewną liczbę w drużynie np. ponad 10 osób, bo organizatorom chyba zawsze chodzi o ilość. Ma się rozumieć,



Witold Małcużyński,

laureat III-ej nagrody na konkursie Szopenowskim w Warszawie.

że punkty za ten „nadkontyngent“ nie mogą być wygórowane, bo mogło by się stać, że drużyna np. 14 młodzieńców uzyskała by większą ilość punktów niż drużyna trzyosobowa złożona z 2 pań 30-letnich i synka 12-letniego idąca z odleglejszej miejscowości. Punkty za poszczególne czynniki muszą z sobą harmonizować. Kiedyś jeszcze, kiedy narciarstwo zaczęło się rozwijać w Europie, punktowano taki czynnik jak kondycja fizyczna i stan zmęczenia organizmu. Tutaj kompetentnymi byli lekarze sportowi, którzy w dodatku byli fachowcami w jednej z dziedzin w. f. Ci jednak orzekli, że aby zbadać organizm zawodnika po przyjeździe do mety, trzeba go badać przez dłuższy czas przed imprezą, by na podstawie zmian i różnic coś powiedzieć. Odstąpiono więc od tego jak również odstąpiono od badania sprawności fizycznej i kondycji, co pozostało w wojsku i szkołach (niektórych państw) jako organizacjach, gdzie wszyscy mają przez pewien czas jednakowe warunki bytu, pracy i treningu.

Toby były mniej więcej wszystkie czynniki jakie się punktuje. Suma punktów za wszystkie czynniki, wybrane i z góry podane do wiadomości przez organizatorów, decyduje o umiejscowieniu się danej drużyny w zjeździe. Można, ma się rozumieć, brać i inne jeszcze czynniki, to zależy od celów jakie wychowanie fizyczne ma w danym środowisku, a więc np. robienie po drodze szkiców terenu, wykwapowanie uczestnika na wypadek złamania narty na odludziu i t. p.

U nas odbył się niedawno Zjazd Gwiazdzysty na Kozubowej, organizowany przez Beskid Śląski. Jakie czynniki uwzględniali organizatorzy przy klasyfikacji drużyn?

Otóż w nrze 14-tym „Dziennika Polskiego“ z dnia 17 stycznia b. r. czytamy:

„Na Kozubowej będzie fungował Wydział sędziowski, złożony z 5 osób, który wyliczy dla każdej drużyny jej czas podróży oraz przeprowadzi punktację udziału i stylu.

Za przybycie Drużyny w należyтым stanie i czasie otrzyma każda Drużyna przynajmniej 3 punkty. Za udział kobiet doliczy się punkty dodatkowe po jednym od osoby. Ponadto oznaczy Wydział sędziowski przy uwzględnieniu miarodajnych okoliczności styl, w jakim każda z Drużyn dojdzie do mety (najwyżej 5 punktów).

Punktacja ta przeprowadzi się przez trzy lata z rzędu, poczem zostaną ogłoszone wyniki ostateczne.“

Kryteria więc oceny umiejscowienia się drużyn były:

1. stan (?),
2. czas,
3. płęć,
4. styl „przy uwzględnieniu miarodajnych okoliczności“. (?)

Z Nr. 16-tego znów tegoż dziennika dowiadujemy się, że:

„W zjeździe tym, czasu potrzebnego do wyjazdu na Kozubową nie mierzy się i nie punktuje. Punkty otrzymuje się tylko za kondycję fizyczną, za to czy w danej grupie jest kobieta, wzgl. same kobiety i za to, wiele grup z danej gminy względnie organizacji przyjeżdżie. Dokładna punktacja z mapą zjazdową będzie jeszcze podana.“

Czyli w tym komunikacie odrzuca się czas a wprowadza nowe mierniki któremi są, jak z powyższego wynika:

1. kondycja fizyczna (?),
2. płęć,
3. stosunek ilościowy osobników płci żeńskiej do męskiej w danej grupie (?),
4. ilość grup z danej gminy, wzgl. organizacji (komu punkty? — gminie czy organizacji?).

W Nrze 19 znów organizatorzy wprowadzają jako miernik oceny czas, jak wynika z przytoczonego urywku komunikatu:

„Jako dodatek do wczorajszego artykułu podajemy dokładną godzinę startu z każdego poszczególnego punktu wyjazdowego i czas potrzebny w jakim powinny poszczególne grupy przyjechać.“

To zestawienie mówi samo za siebie. Pełno jest tu niejasności, tak że ostatecznie nikt nie wie co się będzie punktować, czy to, co podano w Nr. 14 czy też to z Nr. 16-go, zdaje się jednak, że sami organizatorowie tego nie wiedzą. Co to jest ten t. zw. „stan“? Niejedna pani lub pan gotowi się obrazić, że posadza się ich o inny stan niż normalny. Co to są te „miarodajne okoliczności“, które się uwzględnią przy ocenie stylu? Co organizatorowie rozumieją przez styl? Ile punktów otrzyma się za styl np. fiński, bo z powodu braku bliższych wyjaśnień można się domyslać, iż ów styl, to będą rodzaje kroków narciarskich, jakich uczestnik użył przy dojeździe do punktu zbornego; ile w takim razie punktów będą organizatorowie dawali za t. zw. dwukrok, lub krok z odbicia a ile za styl indywidualny? Jaką miarą oceniać kondycję fizyczną? I czy mają ludzi kompetentnych do takiej oceny?, i t. d. Ciekawym jak wybrną organizatorowie z tego wszystkiego po trzech latach, kiedy to, jak sami ogłaszają, będzie trzeba ostatecznie sklasyfikować drużyny, jakie wtedy znów mierniki odrzucą a jakie nowe wprowadzą, no i jak w tym roku? Sądzę, że dowiemy się o tym z ogłoszenia wyników zjazdu, lecz to już jest grubo spóźnione, bo podawanie sposobu punktowania i interpretacji czynników po imprezie jest równoznaczne z posądzeniem organizatorów o nieuczciwość i chęć takiej interpretacji owych czynników, jaka jest im potrzebna do oceny drużyn przez nich faworyzowanych.

A teraz powracam znów do owych dwóch kierunków w naszym narciarstwie, którymi są jak wspomniałem, kierunek zawodniczo-widowiskowy i rekreacyjno-turystyczny. Rzucając okiem wstecz zauważymy, iż pierwsze początki naszego narciarstwa, to kierunek czysto turystyczny propagowany czynnie najpierw przez jednostki, później przez naszych akademików wreszcie przez „Beskid Śląski“. Kierunek zawodniczy zaś bardzo opornie się rozwijał aż do czasu pierwszych zawodów „Gronia“ na nowej skoczni w Nydku, które to zawody były punktem zwrotnym w rozwoju tego kierunku, bo odtąd ten w szalonym tempie rośnie. Zauważamy wtedy również szybszy rozwój kierunku turystycznego, który postępuje jednak nie w tak szybkim tempie jak ten drugi t. zn. zawodniczy. Wskutek nierówności tempa rozwojowego obu tych kierunków mamy dzisiaj dysharmonię między obu kierunkami, przez co całe narciarstwo cierpi. Zjazd gwiazdzysty powinien być tym bodźcem do roz-

woju kierunku rekreacyjno-turystycznego a tym samym powinien się przyczynić do harmonijnego rozwoju polskiego narciarstwa w C. S. R.

Życzymy sobie wszyscy, aby tak było (to przyszłość okaże) pomimo, iż popełniono wiele niedociągnięć przy jego organizowaniu. F. M.

* * *

Harcerstwo

... Bolało mnie już od dawna, że w społeczeństwie polskim nie było szerokiego rozmachu, gniotła mnie małość życia i aspiracji...

Józef Piłsudski.

O jedność organizacyjną.

W jedności siła i potęga, dobro i mocarstwo stanowisko Narodu. Wiedział o tym Wódz Piłsudski, wiedza o tym jego następca, wie Naród Polski, i w myśl tych haseł dąży do wewnętrznej konsolidacji sił twórczych, dąży do współpracy i dobrobytu. Cały Naród bierze żywiołowy udział w tym wskazaniu Wodza.

I skupienia polskie zagranicą przeprowadzają w swym łonie konsolidację oraz odrodzenie ducha polskiego.

Do pracy chwyta się starsze społeczeństwo, jednak młodzież winna wziąć żywy udział w tym zjednoczeniu sił, powinna dążyć do skupienia całej młodzieży pod jeden wspólny sztandar w myśl dobra ogółu.

Przypatrzmy się młodzieży naszego terenu. Jest ona rozbita na drobne cząsteczki, na małym skrawku ziemi mamy bardzo wielkie różniczkowanie. A czy takie rozdrobnienie jest dobre? Trzeba pamiętać o tym, że najwięcej zdziała się gromada — a im większa gromada, tym większa siła wewnętrzna oporna na wszelkie ataki z zewnątrz.

Potworzono różne organizacje, dało się im najsłabsze idee i te, zamiast pociągać za sobą i wychowywać młodzież na dzielnych obywateli kraju, stacają za sobą wzajemne walki, jedna organizacja rozbija drugą. Znaleźli się wśród nas i tacy, którzy tę młodzież wszelkimi sposobami przyciągają w swoje strony nie pozwalając jej zbliżyć się w jedną całość, bo wiedzą, że w tym tkwi siła a ich upadek.

Wśród młodzieży nie może znajdować miejsce walka klasowa, boć o samej walce wśród naszego społeczeństwa, które w ogóle jest biedne, mowy być nie może. Z jednej strony nie można pogardzać robotnikami lub pracownikami z tego względu, że nie posiada wykształcenia, nie można go także z tej przyczyny wykorzystywać za żadną cenę, lecz trzeba go uświadamiać, trzeba go kształcić, wskazywać mu złe strony życia, ażeby się ich wystrzegali, prowadzić po drogach dobrych. Z drugiej strony nie można lekceważyć osób wykształconych, boć to przecież dzieci biednych pracowników, którzy wystudowali lub studiują za krwawy grosz zdobyty twardą pracą fizyczną. Na świecie tak już musi być, że jedni obmyślają plany a drudzy przeprowadzają myśli innych. Z tego też względu obydwie warstwy: pracy umysłowej oraz pracy fizycznej powinny się nawzajem uzupełniać, zlewać w jedno ciało pracujące, szanować i kochać się nawzajem.

Wreszcie, jeżeli mamy myśleć o jakimś międzynarodowymłączeniu się (boć i harcerstwo należy do organizacji o charakterze międzynarodowym), trzeba pamiętać o tym, że w pierwszym rzędzie należy ukochać bliźniego, podać bratnią dłoń tym, którzy czują i myślą po polsku a których uważamy za »nieprzyjaciół«, trzeba wyprzeć się nienawiści, trzeba być względem każdego szczerym. Trzeba przede wszystkim ukochać społeczeństwo w którym wzrosliśmy a którego jesteśmy częścią, trzeba dążyć do konsolidacji wewnętrznej w imię dobra społeczeństwa, dobra własnego Narodu, a dopiero później można myśleć o współpracy międzynarodowej.

Pogłębienie naszej pracy w kierunku jedności organizacyjnej — oto nasze zadanie. My harcerze pójdziemy wszędzie, w szeregi biednych i bogatych, do robotników i warstw »wyższych«, niosąc wszędzie z sobą oświatę, radość życia i zrozumienie celu, jaki na młodzież spada. W złamaniu przeszkód tamujących współpracę, myśl, że dobrej sprawie służymy niechaj nam przewodzi i dodaje otuchy.

W tej ciężkiej pracy a zarazem chlubnej przyszłości, niechaj Duch Wielkiego Wodza będzie naszym drogowskazem.

J. Z.

Wszyscy warstwy - łączcie się!

Macie wspólnymi siłami budować lepszy byt społeczeństwa polskiego na Śląsku Zaolziańskim, tworzyć jego kultu-

ralne i materialne wartości. Wspólnymi siłami i wspólną pracą macie bogactwo społeczeństwa pomnażać.

Zostaniesz wieśniakiem, czy robotnikiem, rzemieślnikiem, kupcem, urzędnikiem, czy uczonym — jednaki będzie twój obowiązek względem społeczeństwa polskiego: **praca.**

Ale nie tylko praca — **współpraca** także. Przy budowie mostu robotnik musi współpracować z inżynierem, przy orce współdziała z oraczem chłopak prowadzący konie. W pracy dla Państwa współdziałać muszą **wszyscy** jego obywatele, **równi sobie** w swych obywatelskich prawach i obowiązkach, **równi w wartości pracy**, którą Państwu dają.

Jako harcerz — masz być pionierem tej pracy. Masz w gąszczu obojętności i nieporozumienia torować drogę dla niej. Masz walczyć o nią!

W walce tej **musisz mieć sprzymierzeńców i przyjaciół** we wszystkich warstwach społeczeństwa. Musisz mieć przyjaciela w rodzinie rolniczej, robotniczej i warstwy wykształconej. Musisz pokusić się o to, by poznać ich życie, ich radość i utrapienia, ich potrzeby. Musisz razem z nimi przejąć się pragnieniem dążenia w górę: uczenia się i poznawania, hartowania woli, aby tym lepiej pracować w przyszłości, tym lepsze kiedyś wartości przysparzać społeczeństwu polskiemu.

Nawiązując bliższe przyjacielskie stosunki. Piszcie do siebie, starajcie się odwiedzać. Jeżeli »mieszczuch« zapoznaj się ze wsią i jej warunkami życia, i naodwrot — młodych rolników poznaj życie miasta. Jeżeli z rodziny zamożnej, szukaj przyjaciół tam, gdzie o kawałek suchego chleba walczy się w pocie czoła.

Harcerstwo bowiem to wielka liga młodych, którzy jednoczą swe siły w służbie Narodowi.

Szukaj więc przyjaciół wśród **wszystkich warstw** społeczeństwa i **łącz się** z nimi w celu wspólnej pracy dla dobra kraju i Narodu.

Kacik językowy.

Obce wpływy.

Niejednokrotnie wskazywano już w tym kaciku na błędy, wynikające z oddziaływania języka czeskiego i niemieckiego. Oto dwa z zakorzenionych zwrotów.

Poszedłbym o zakład, że wielu z czytelników ze zdziwieniem otworzy gębę, gdy przeczytają, że pozdrowienie »dobrze rano!« jest nie polskie. Pozdrowienie to pochodzi z języka czeskiego i tak jest u nas wzięte, że bardzo wielu Ślązaków nie zdaje sobie sprawy z jego niepoprawności. O każdej porze dnia — z wyjątkiem wieczoru — pozdrawiamy słowami »dzień dobry!«, wieczorem »dobry wieczór!«. Równie nie poprawne jest »dobry dzień!«, bo też pod wpływem składni czeskiej. Żegnamy się słowami »do widzenia!« (pisane rozdzielnie) lub »dobranoc!« — pisane łącznie.

Pod wpływem języka czeskiego używa się czasem błędnych form czasownika **grać**. Mówią u nas: »On pięknie graje«, »zagrajemy se na skrywaczke«, »zagrajesz se z nami?« i t. p. Błąd ten spotyka się w okolicach gdzie wpływ języka czeskiego są bardzo wielkie. Poprawnie po polsku mówimy: gram, grasz, gra, gramy, gracie, grają.

Pan ksiądz...

Zwrot bardzo często spotykany — choć błędny. Wyraz **ksiądz** jest tytułem, zastępującym u osób duchownych tytuł **pan**, nie można więc używać dwu równorzędnych tytułów. Odzywając się do księdza mówimy: »księżu proboszczu, księżu pastarze, księżu profesorze, księżu katechecie i t. p.« albo też »proszę księdza proboszcza etc.«. Nie można mówić »proszę pana księdza« czy też »panie księżu profesorze!«. W liczbie mnogiej nie mówimy po polsku: księdzowie, księdzów, księdom itd., lecz: **księża, księży, księżom, księży, księża! ,księżmi, o księżach.** -jof-

Komunikaty.

X. WALNE ZEBRANIE ZWIĄZKU POLSKICH CHÓRÓW W CZECHOSŁOWACJI

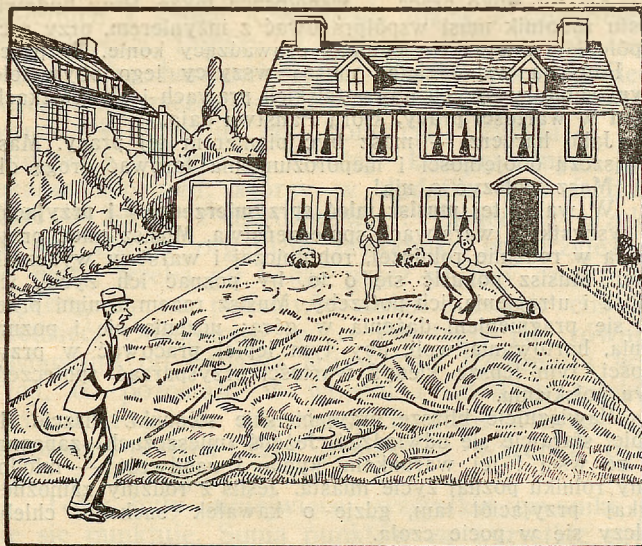
odbędzie się

w niedzielę, dnia 18 kwietnia 1937 o godz. 19-tej w sali hotelu »Polonia« w Czeskim Cieszynie.

Program obrad podamy w przyszłym numerze.

* * *

Ligotka Kam. Na wieczorku, który urządza Polska Komisja Oświatowa w dniu 28 marca b. r. w sali gospody gminnej o godz. 7½ wieczór, młodzież ZEM odśpiewa kilka pieśni i odegra krotko-chwilę w 3 aktach p. t. »Świat bez mężczyzn«.



— Na miłość Boską, co pan zrobił ze swoim ślicznym trawnikiem?

— Wypróbuję nową kosiarkę, która skonstruowana jest na wzór żyletki do golenia.

* * *

Zgoda.

Nieśmiały Jan zdobył się wreszcie na odwagę i oświadczył pannie Aurelii przez telefon.

— Hallo, panna Aurelia?

— Przy aparacie.

— Czy zgodzi się pani zostać moją żoną?

— Chętnie. A z kim mam przyjemność?

* * *

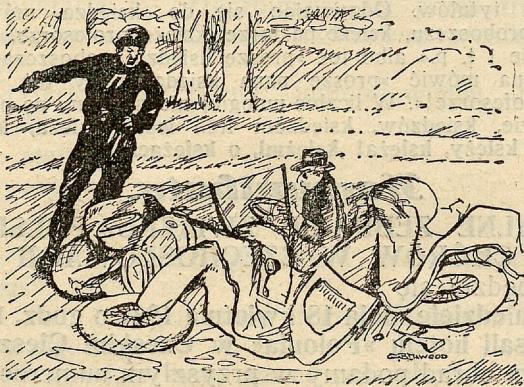
Nasze dzieci.

Mama idzie na spacer z Karolkiem.

— Mamo, czy masz cukierki ze sobą na wypadek, gdybym zaczął płakać?

* * *

Po święcie Józefa.



— Lewą stroną się jedzie, panie!

— Tak jest, panie wachmajster.

* * *

Oszczędni Szkoci.

O'Connor zamierza kupić łapkę na myszy. Wchodzi do sklepu i studiuje długo mechanizm łapki. Odkłada ją wreszcie na bok i z rozczarowaniem oświadcza:

— Nie mogę kupować łapek na myszy, które duszą mysz dopiero wtedy, gdy zjada ona już przyętę ze słoniny.

* * *

Amerykańskie więzienie.

Noc. Uwięziony w celi wróg publiczny Nr. 1 z zapalonym przepiłowuje kraty okna. Po chwili rozlega się zgrzyt klucza w zamku i do celi wpada wzburzony dozorca.

— Czy nie możecie trochę ciszej piłować, do stu diabłów, — woła — wszystkich pobudzić!

* * *

Złośliwa.

Pani A.: — Proszę pani, nie należy nigdy kłócić się z mężem przy dzieciach, bo to zgorszenie. Niech pani naśladuje mnie. Gdy się kłóczę z mężem, wyganiam dzieci na ulicę.

Pani B.: — Aha, więc to dlatego dzieci pani wałęsają się cały dzień po ulicy?!

* * *

Niegodziwy.

Helenko! Żal, żal szalony

Przygniata mój umysł tkliwy: —

Mój Stasiu, mój narzeczony,

Zradza mię... jest niegodziwy.

Gdyś mi pisała przed rokiem

Na próbę, że mi nie wierze, —

Pisał z uczuciem głębokim,

Że sobie życie odbierze.

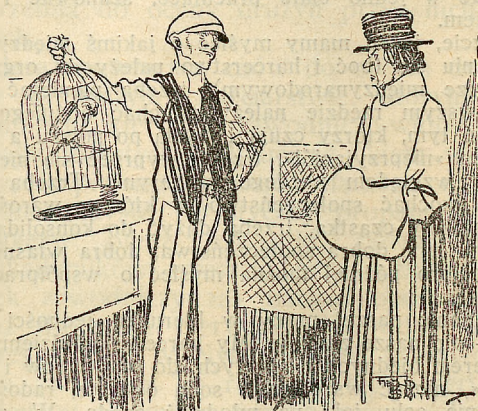
Dziś na wymówki najkrwawsze,

Na groźby klasztornej celi, —

Pisze: — że kocha mię zawsze,

Ale się już... nie zastrzeli!

* * *



— Papuga ta jest idealną namiastką męża, proszę pani. Może mi pani powiedzieć, co tylko zechce — ona zawsze odpowie: »Ależ owszem, skarbie« albo »jestem zupełnie twego zdania, gołąbku!«.

* * *